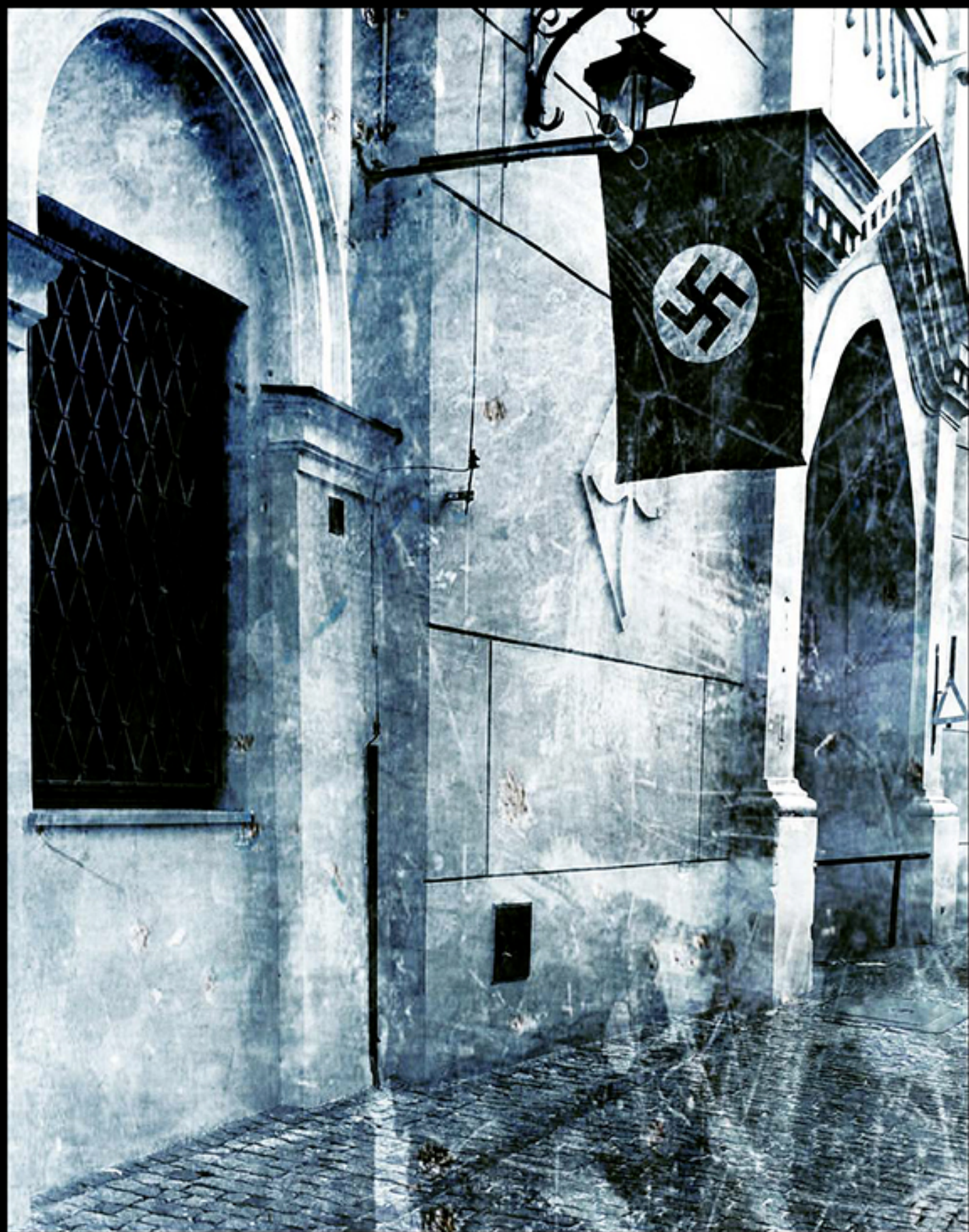
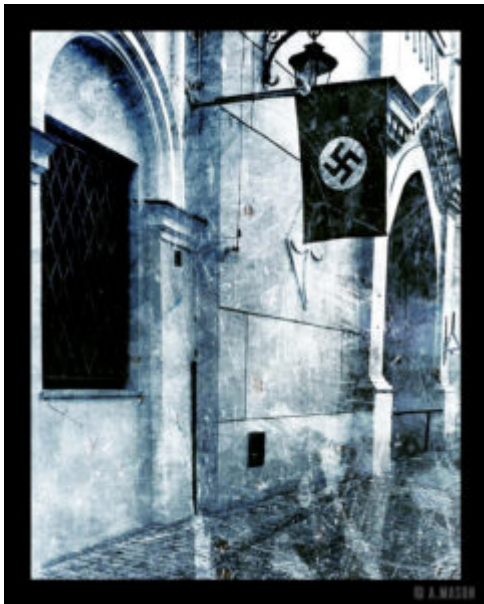




Adam Cebula "O odgrzewanych kotletach"

Adam Cebula



Wspominki to pewnie najstarsza forma literackiej opowieści. Mogę sobie wyobrazić wojowników ponoć najstarszego ludu Khoisan, jak siedzą przy ognisku jakieś 100 tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa i opowiadają sobie wyczyny zapomnianych już wojów sprzed może 50 albo 100 lat. A jeśli znali jakieś formy zapisu, być może widzę ich, jak oglądają na ścianach jaskiń malunki i próbują się domyślać, jak polowali i walczyli ich przodkowie może sprzed jakiegoś tysiąca czy dwóch tysięcy lat.

Wspominkiem jest przecież Iliada. Do czasów Adama Mickiewicza działała zasada, że wolno pisać o zdarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat. Można powiedzieć, że na wspominkach jedzie cała literatura od swego zarania.

Odgrzewany kotlet to coś trochę innego. Gdy jakieś zdarzenie ludźmi wstrząśnie, gdy napisze się o nim wiele analiz, to – jak mówią czasami psychoterapeuci – mamy temat przepracowany. Mamy bogatą literaturę zawierającą materiał faktograficzny, wyjaśnione różne aspekty wydarzeń, i gdy ktoś wraca do tematu, to nie powinien zaczynać od zera, zazwyczaj może jedynie dokładać kolejne cegiełki do wiedzy o tym, co się stało. Jeśli nawet po latach pojawia się jakaś rewolucyjna teza odnośnie owych byłych zdarzeń, to o ile ma być jakimś wkładem w ich zrozumienie, to nie będzie ona kwestionować wszystkiego, co wiemy. Nawet jeśli pokazujemy, że coś było oszustwem, musimy się odwołać do tej oszukanej wiedzy, by pokazać, co się naprawdę stało.

Odgrzewany kotlet zazwyczaj powstaje w ten sposób, że autor sięga do jakiegoś dawnego, zazwyczaj intrygującego czy bulwersującego zdarzenia, „zapominając” o tym, co na ten temat do tej pory ustalono. Erich von Däniken, pisząc o Wyspie Wielkanocnej, o ile mnie pamięć nie myli, ani słowem nie zająknął się o badaniach, które przeprowadził Thor Heyerdahl. Jak już wiele razy pisałem (repetitio est mater studiorum), Heyerdahl przeprowadził z wyspiarzami m.in. próby wykuwania słynnych posągów oraz nawet postawiono jeden z nich i chyba(?) udało mu się założyć kamienną czapkę.

Däniken odczekał trochę, a najpewniej najzwyczajniej w świecie zupełnie nieświadom wcześniejszych odkryć, napisał swoje fantazje o kosmitach, bo przecie prymitywni wyspiarze bez maszyn żadną miarą nie mogli transportować wielotonowych głazów, stawiać ich, a już najbardziej nieprawdopodobne zdało mu się, by odłamali w kamieniołomach takie wielkie bloki. Dlaczego o

kosmitach wiedzą wszyscy, a o stawianiu posągu poprzez podparcie go stosem kamieni nieliczni?

Minął jakiś czas, ludzie zapomnieli o książce „Aku-Aku. Tajemnica Wyspy Wielkanocnej”. Można spokojnie było ludziom wcisnąć kolejny kit na dawno rozpoznany temat.

Warto jednak zauważyć: jedyny problem z Dänikenem jest taki, że propaguje on dość nieszkodliwą bajeczkę. Co prawda uderza także w naukę, lecz kto ma jakiegokolwiek pojęcie o historii, nie potraktuje jego rewelacji poważnie, i jego teorie nie będą miały konsekwencji.

Teoria propagowana m.in. przez Wiktora Suworowa (Władimir Bogdanowicz Riezun), że Stalin planował atak na III Rzeszę, a Hitler, najeżdżając ZSRR, jedynie ratował swoją skórę, ma już znacznie poważniejsze konsekwencje. To próba wybielenia w jakimś tam stopniu nazistów i przerzucenia odpowiedzialności za tragedię II wojny światowej na kogoś innego. Nie na tych, którzy faktycznie byli za nie odpowiedzialni, ale tych, których dziś chcą nie lubić ludzie.

Problem wygląda tak, że nazistów naprawdę nie ma. Najwyżej mamy tzw. neonazistów. To już tak naprawdę ludzie trochę groteskowi. Owszem, bywają groźni, lecz nie mogą być spadkobiercami win swych poprzedników z prostego powodu: nie stoi za nimi poważna siła (jakakolwiek), nie dorobili się ideologii, która nie ciągnęłaby zdechłą myszą, a nade wszystko dlatego że pomiędzy nimi a „prawdziwymi” nazistami nie ma ciągłości. Nie budzą już emocji. Owszem, byli komuniści. Państwo rosyjskie jak najbardziej jest tym samym państwem, które brało udział w wojnie i kreowało związane z nią wydarzenia. Rosja to żyjący winny, budzący większe emocje niż wygrzebany gdzieś w lasach Argentyny stary esesman.

Jak mi się zdaje, takie są przyczyny kreowania „odgrzewanych” teorii. To ma szansę ruszyć czytelnika. Ale dlaczego ludzie to kupują?

Bo zapomnieli, a nawet więcej: ci, co wiedzieli, poumierali. Zasada odgrzewanego kotleta. Ze świadomości ludzi wypadło kilka faktów albo się zatarty, nie sposób przypisać im odpowiedniej wagi. Kto zna historię II wojny światowej na takim poziomie, na jakim musiało ją znać jeszcze moje pokolenie, na rewelacje Suworowa wzruszy ramionami. Tak, prawda, ZSRR nie krył zamiaru wywołania światowej rewolucji, niesienia sztandaru komunizmu przez wszystkie kontynenty. To było wpisane w oficjalną propagandę. Jednak jednocześnie nie miało nic wspólnego z wojennymi planami na najbliższe lata.

Wojna zimowa (wojna radziecko-fińska 1939-1940 r., fiń. talvisota, ros. ?????? ?????) – konflikt zbrojny pomiędzy ZSRR a Finlandią, toczący się w okresie od 30 listopada 1939 do 13 marca 1940 roku (104 dni) – (za Wikipedią) pokazał wartość bojową Krasnoj Armii. Finlandia nie wygrała tej wojny, ale straty, jakie poniósł „Sojuz”, były tak wielkie, że ocaliły istnienie małego państwa. W ludziach proporcje były mniej więcej takie: 1 żołnierz fiński na 10 krasnoarmiejców, w samolotach (za Wikipedią) było 1 do 26.

Stalin na pewno nie należał do najbystrzejszych polityków tamtych czasów, ale z pewnością posiadał tyle rozumiało: ma atrapę armii. Aby – mając takie proporcje strat – mógł myśleć o zaatakowaniu w owym czasie najlepszej armii świata, musiałby mieć pod bronią jakieś (powiedzmy) 20 milionów ludzi, a miał najwyżej jedną dziesiątą tego. Za Suworowem jest powtarzana teza, jakoby początkowa klęska Rosjan wynikała z tego, że armia była przygotowana do ataku i kłóciło się to zupełnie z szykiem obronnym. Przy czym „szyk” to przenośnia. Zarówno dla rozmieszczenia oddziałów, jak i wszelkich innych elementów przygotowania, proporcje środków transportu, uzbrojenia, ustalenia dróg dowodzenia itd.

Pytanie: a czemuż to w wojnie fińskiej, w której wszystko szło zgodnie z sowieckimi planami, bojcy

dostali takie lanie?

Prawda jest taka, że po zajęciu Francji Hitlerowi zaczęły się kończyć pomysły, co dalej. Mocarstwo, które zadarło z całym światem, miało przed sobą tylko jedną drogę: ciągły podbój. Na Zachodzie w bitwie o Anglię Niemcy dostali pierwsze lanie, a Stalin zaczął stawiać warunki utrzymania egzotycznego sojuszu. I znów pewien "szczegół, który chyba umyka już wnukom tych, co widzieli wojnę. Hitler za głównego wroga miał nie Żydów, ale komunistów. Po dojściu do władzy od razu zaczął ich mordować. Potem była przerwa do 1938 roku. Dopiero wówczas wziął się za Żydów.

Stalin oczywiście wiedział, co się stało z niemieckimi towarzyszami, i byłby kompletnym idiotą, gdyby się nie spodziewał, że w którymś momencie wymuszony sojusz z ideologicznym wrogiem nie zostanie podeptany. Oceniał jednak chyba jeszcze w 1941 roku, że dla III Rzeszy współpraca z ZSRR ciągle bardzo się opłaca. Prawdopodobnie przez to, że przez całe życie lawirował pomiędzy różnymi spiskami, podstępami, rozgrywał prowokacje, uznał, że to, co oficerowie jego wywiadu widzieli na własne oczy, o czym donosił mu wywiad angielski, jest kolejną zmyłką, która ma wciągnąć Sowiety w konflikt po niewłaściwej stronie. Trudno, mówiąc prawdę, chodzić tropami głupca, nie jest tak ważne, dlaczego tatuś radzieckiego narodu kompletnie poszkapił się w swych kalkulacjach, ale ważne jest to, że okazał się tak samo sprawny jak jego machina wojenna. Zawiodł jako przywódca. Kompletnie.

Niestety głupota budzi zawsze największe zdziwienie oraz emocje i jest najtrudniejsza do wyjaśnienia.

Krasnaja Armia, która miała być gotowa do agresji na III Rzeszę, naprawdę pozbierała się dopiero 19 listopada 1942 roku, gdy ruszyła ofensywa zamykająca kocioł pod Stalingradem. Jak to możliwe, że będąc pod bronią, przygotowana do walki, potrzebowała dobre półtora roku, by realnie stawić czoła hitlerowcom? Co się dzieje, gdy ścierają się ze sobą oddziały w sytuacji gdy obie strony planują atak na swoje pozycje, widać na przykładzie bitwy na Łuku Kurskim. Rosjanie i Niemcy ponosili straty, nie było dramatycznej przewagi żadnej ze stron. Strategiczne zwycięstwo Czerwonej Armii oznaczało kilkakrotnie większe straty w ludziach (ok. 60 tys. Niemców i ok. 260 tys. Rosjan), lecz było to zwycięstwo. Mówiąc krótko, gdy obie strony były faktycznie gotowe do walki, przebieg konfrontacji w niczym nie przypominał pogromów z pierwszego półroczia agresji na ZSRR. Walki były faktycznie wyrównane, a zwycięzcę czy przegranego trudno wskazać.

Żyjąc już własnym, niezależnym od Suworowa życiem teoria katastrofy Krasnoj Armii stara się zwinąć winę na ów sztyk zaczepny (cokolwiek to znaczy). Znaczyć ma, że Ruscy sami sobie byli winni. Wychodząca do ataku armia była „zupełnie” nieprzygotowana do obrony, przez co wyprzedzające uderzenie tak łatwo ją praktycznie zmiotło. Otóż, jak wspomnimy czy to Łuk Kurski, czy polską wojnę z Sowietami prowadzoną przez Piłsudskiego, to operacje zaczepne i obronne we współczesnej wojnie manewrowej nie różnią się zasadniczo. Najlepszą odpowiedzią na atak jest rajd własnych wojsk wyprowadzany na tyły enpla, który pozbawia ich zaopatrzenia, przerywa linie łączności, rozbija niezbędne do działania jednostki tyłowe. Jeśli sami wyprowadzamy uderzenie w jakimkolwiek kierunku, musimy przygotować silną obronę innych odcinków, by zabezpieczyć się przed taką okolicznością. Jeśli jednostki bojowe jedynie zostały gdzieś zgrupowane, to muszą być przygotowane na to, że nieprzyjaciół spróbuje je zniszczyć lub choćby tylko odciąć. Dlatego właśnie pod Kurskiem walki były tak wyrównane.

O to, czy były przygotowania do ataku na III Rzeszę, czy też są to fantazje, można byłoby zapytać byłych bojców. Dopóki żyli. Wystarczyło poczekać, aż poumierają, albo... staną się niewiarygodnymi starymi dziadami. Minęło jakieś pół wieku i tyle wystarczy, by można było zacząć fantazjować.

W rzeczywistości wystarczy znacznie krótszy okres, by ludziom z głów wywietrzało, jak było, i zaczęli

wymyślać cuda na temat tego, co sami przeżyli. Kilka razy o tym pisałem: w peerelu rządziła PZPR. Pytanie: dlaczego w opowieściach o kolejnym minionym okresie wywiało ze sceny I sekretarza KC PZPR, który w swoim czasie wyznaczał faktyczną linię polityczną, że nie opowiada się już o rzeczywistej wszechwładzy lokalnych komitetów partyjnych?

Opowiada się o bohaterskich – rodem z sensacyjniaków – zmaganiach ze Służbą Bezpieczeństwa, o donosicielach, bardzo konspiracyjnych działaniach. Bo to efektowne. Tak efektowne, jak stawianie posągów na Wyspie Wielkanocnej przez kosmitów.

„Na kotleta” napisał niejaki Zychowicz kilka książek. Cała „Opcja niemiecka” sprowadza się do jednego: zapominamy, że z hitlerowcami nie dawało się zawrzeć żadnego układu, że byli skrajnie wiarołomni. Rząd II Rzeczypospolitej doskonale wiedział, że Neville Chamberlain, podpisując układ monachijski, skompromitował sensowność jakichkolwiek układów z nazistami. Nie było żadnych ustępstw wobec nazistów, bo nie miały one żadnego sensu.

Da się wodzić czytelnika po manowcach, budując alternatywne wizje historii, bo w jego głowie zatarły się fakty. Zapomniał, nigdy nie wiedział, jest za młody, zwyczajnie nie pomyślał. Bo na ten przykład nauczyć się fantazjować o swym kraju w kategoriach wielkomocarstwowych. „Na kotleta” są pisane dywagacje o diabelskiej alternatywie, jaka miała stać przed Józefem Beckiem, który jakoby miał mieć do wyboru sojusz albo z Hitlerem, albo ze Stalinem. Cóż, popełniał je także nasz dzielny RAZ. W dramatycznej atmosferze zapominamy i prozaicznych sąsiadach Polski, takich jak, Litwa, Łotwa, Węgry czy Czechosłowacja. O tym, że wojskowy układ właśnie z Czechosłowacją mógł uratować oba kraje, nie śmie się nawet wspomnieć. Ponieważ tego się nie da dobrze sprzedać.

Im więcej czasu upływa od incydentu w Roswell, tym łatwiej przekonywać, że tamże rozbił się statek kosmitów. Szkody z tego akurat nie ma tak wielkiej, jak z głoszenia „na kotleta” teorii antyszczepionkowych. Zapomnieliśmy o nieszczęściach, jakie niosą ze sobą choroby zakaźne, więc da się ludziom wciskać kit o szkodliwości pewnie najważniejszych odkryć w dziedzinie medycyny.

Metoda „na kotleta” ma bardzo wiele wspólnego z SF. Po pierwsze, przez to, że doskonale nadaje się do wprowadzenia kosmitów, generalnie bytów kompletnie fantastycznych, jak choćby latające talerze startujące ze słynnej Muchołapki w Ludwikowicach Kłodzkich. Tak na marginesie: mam znajomego, który nie tylko widział na własne oczy, co tam w onej Muchołapce naprawdę było, lecz także znał osobiście niejakiego J.G., który w 60. latach przy wódce zanudzał ludzi opowieściami o tym, czegoś hitlerowcy nie wyprawiali w podziemiach. Faktycznie był przymusowym robotnikiem przy budowie słynnych podziemi, lecz – jak się zdaje – kluczowe było, że określano go jako dziwkarza i pijaka. Gdyby zapytać tych, co jeszcze dobrze pamiętają, to większość opowieści(także tych o złotych pociągach) prowadzi do jego osoby.

Skoro było po pierwsze, to trzeba wymieć i to przynajmniej drugie. Znasz, kochany czytelniku, problem kołka, na którym zawieszamy niewiarę? Więc wszelkie fantastyczne opowieści istnieją dzięki tej konstrukcji. Dobra SF powstaje (zwykle) tak, że wyjmujemy z naszej rzeczywistości jedną jej cechę, zawieszamy działanie jakiegoś prawa fizycznego, albo, jak w przypadku historii alternatywnej, przebieg wybranego historycznego zdarzenia. Atrakcja będzie wówczas, gdy szacher-macher jest relatywnie niewielkie, a reszta historycznej rzeczywistości czy zdarzeń zostaje na swoim miejscu. To jest pewna sztuka znaleźć takie punkty w dziejach czy prawach rządzących światem. Wystarcza to wielokroć przywoływane drżenie skrzydeł motyla – i kreuje się całkiem nowa, zaskakująca rzeczywistość.

Różnica pomiędzy zawieszeniem niewiary a metodą „na kotleta” polega na tym, że w pierwszym przypadku UMAWIAMY się z czytelnikiem, w drugim liczymy, że da się on wpuścić w maliny. Pierwsza operacja jest zazwyczaj o wiele trudniejsza, ponieważ trzeba zainteresować czytelnika

atrakcyjną zabawą, druga to niestety żadna postprawda, a zwykłe kłamstwo.

Metoda „na kotleta” jest, jak mi się zdaje, coraz częściej stosowana. Powód jest chyba taki, że branie ma agresywna publicystyka. Nie tylko taka, która epatuje tabloidową sensacją. Z tym jest połowa bity, prawdziwe nieszczęście polega na tym, że w tak zwanym publicznym dyskursie trudno dziś zaistnieć, jeśli nie napuszcza się ludzi na siebie. Taka jest przyczyna choćby pomysłu, że to ZSRR (w rezultacie: Rosjanie) chcieli jako pierwsi zaatakować III Rzeszę. Opisywanie zbrodni hitlerowców nie tylko już się znudziło. Ono nie ruszy nikogo, ponieważ szczucie na martwego wroga nie wzbudzi emocji. Szczujemy na kogoś żywego.

Szczuje się najskuteczniej za pomocą kłamstwa. Przed Chrystusem, który pewnie jest sztandarowym przykładem w naszym kręgu kulturowym, w identyczny sposób załatwiano wielu wybitnych ludzi, co przepięknie ilustruje „obrona Sokratesa”.

SF i okolice gatunku wyprodukowały wiele wspaniałych narzędzi do tworzenia bardzo atrakcyjnej nieprawdy. Moim zdaniem metoda „na kotleta” jest zdegenerowaną wersją zawieszania niewiary na kołku. Na terenie fantastyki wyksperymentowano, że z drobnych zmian w rzeczywistości da się wyprodukować wciągające i atrakcyjne konsekwencje. A ludzie od wieków wiedzą, że do oczernienia kogoś wystarczające jest niewielkie kłamstwo. Fantastyka pokazała, że to może na papierze wyglądać i atrakcyjnie i... wiarygodnie. Co poniekąd potwierdza powstanie legendy słuchowiska Orsona Wellesa „Wojna światów”. Za Wikipedią: „Według firmy C. E. Hooper, która zajmowała się w tym czasie badaniem słuchalności radiowej, tylko 2% osób zapytanych telefonicznie podczas trwania audycji odpowiedziało, że słuchają „sztuki” lub „programu Orsona Wellesa”. Jak się zdaje, opowieści o panice wywołanej słuchowiskiem są typowym produktem „na kotleta”. Zapewne cokolwiek prawdy jest w tej legendzie, ale wiele źródeł potwierdza, że rosła ona z upływem czasu. Cóż, chyba prawda jest taka, że opowieści o przerażonych ludziach uciekających z miasta przed Marsjanami są także wymysłem fantastyków.

Wystarczy trochę poczekać, a rzeczy da się przedstawić tak, jak potrzebujemy. Nie będę się upierał, że to mądra konkluzja, lecz uważam, że fantastykę dziś powinni w jakimś stopniu znać wszyscy. Bynajmniej nie dlatego, że to fajna rozrywka i bardzo przyjemny sposób spędzania czasu, lecz przez to, że tak zwane środki wyrazu, pomysły, przeróżne wynalazki pisarzy-fantastyków rozlały się na całą naszą kulturę.

W istocie – jak już pisałem – dziś trudno znaleźć film bez elementów SF. Ideologie, jak np. głęboka ekologia, mają o u podstaw fantastykę, dzięki czemu potem tak dobrze pasuje ona (głęboka ekologia) do filmu „Avatar” (uwaga, jest też słynny włoski film o tym tytule z 1916 roku). Tak-tak, głęboka ekologia powstaje poprzez drobne pomajstrowanie w wynikach biologii.

Problem w tym, że cała nasza sfera przekazu (może media?) wpuszcza nas w maliny. Aby jak najmniej dać się zmanipulować, trzeba poznać sposoby, jak to się robi. Czytaj, czytelniku, fantastykę, a jest szansa, że nie nabierzesz się na odgrzewanego kotleta.

Adam Cebula